TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

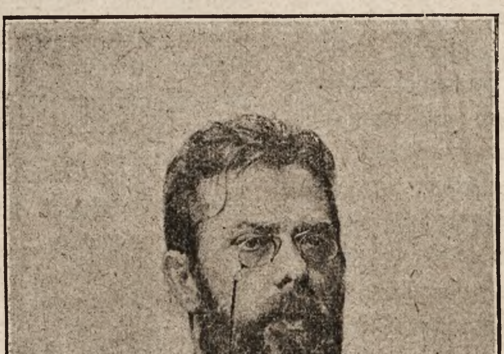
PIOTR CHMIELOWSKI

a katedra literatury polskiej na uniwersytecie warszawskim.

(KILKA DOKUMENTÓW.)

Sprawa, określona tytułem tej notatki, jest w ogólnych zarysach powszechnie znana. Wiadomo mianowicie, że Chmielowski nie przyjął ofiarowanej sobie katedry literatury polskiej, bo kazano mu wykładać w języku rosyjskim, i że z tego powodu naraził się na długoletnie szykany ze strony policji warszawskiej. O ile chodzi tylko o pamięć znakomitego uczonego, wiadomość ta nie wymagałaby może bliższych komentarzy i uzupełnień; wszak i w tej krótko sprecyzowanej formie stanowiła ona jeden z głównych powodów czci, którą Go społeczeństwo nasze otaczało.

Jest to jednak sprawa ważna nie tylko dla przyszłego biografa Chmielowskiego, lecz w wyższej jeszcze zapewne mierze dla historji stosunków naszych w zaborze rosyjskim — dlatego też skwapliwie korzystam z uprzejmości Rodziny ś. p. Piotra Chmielowskiego i podaję kilka dokumentów, odnoszących się do sprawy stworzenia i obsadzenia pierwszej od r. 1831 katedry historji literatury polskiej w Królestwie Polskiem.



PIOTR CHMIELOWSKI.

Kiedy po raz pierwszy rząd rosyjski zgodził się na utworzenie katedry literatury polskiej w Warszawie i jakie czynniki oddziałały na powzięcie tego postanowienia? — nie umiem wyjaśnić. To zdaje się być pewnem, że już pod koniec roku 1880 sprawa była w zasadzie załatwiona i że wówczas polecono zarządowi uniwersytetu, aby wyszukał odpowiedniego kandydata. Najpoważniejszym z pomiędzy wszystkich ówczesnych pracowników na niwie naszej historji literatury, którzy mogli być brani w tej sprawie w rachubę, był młody jeszcze, ale już znany z licznych poważnych prac Chmielowski — do niego też zwrócił się zarząd uniwersytetu z zapytaniem, czy katedrę przyjmie. W lutym r. 1881 nastąpiły oficjalne układy między młodym uczonym a dziekanami wydziału filologicznego i prawniczego: przyszły profesor miał wykładać wszystkie epoki piśmiennictwa ojczystego, a wykład miał się odbywać w języku polskim. W tym samym jeszcze miesiącu wysłał zarząd uniwersytetu do Petersburga swą propozycję, w której

primo loco wymieniony był Chmielowski, *secundo loco*, o ile się zdaje, Józef Przyborowski, autor cennej „Wiadomości o życiu i pismach Jana Kochanowskiego“, wówczas w poważnym już będący wieku.[1])

Nim jednak w Petersburgu zdołano propozycję uniwersytetu warszawskiego zatwierdzić, a może nawet zanim jeszcze referent w ministerstwie do rąk ją otrzymał, nastąpiła głośna katastrofa marcowa: car Aleksander II. zginął z rąk rewolucjonistów. Zamieszanie, jakie wówczas powstało w Rosji, a może więcej jeszcze zwrot w polityce wewnętrznej państwa, który objawił się wkrótce po objęciu tronu przez Aleksandra III. — to były zapewne przyczyny, że sprawy nominacji Chmielowskiego nie załatwiano bardzo długo.

Dopiero przy końcu marca 1882 roku, a więc w rok przeszło po zaproponowaniu mu katedry przez uniwersytet, otrzymał młody uczony następujące pismo:

M. O. Rektor Cesarskiego Warszawskiego Uniwersytetu 15. marca 1882 r. Nr. 651. Warszawa.	Do Pana Chmielowskiego, Rzeczywistego Studenta [2]) Cesarskiego Warszawskiego Uniwersytetu, Doktora filozofji Uniwersyt. Lipskiego.

Najjaśniejszy Pan

na podstawie przedłożenia Pana Ministra Oświaty raczył dnia 29. stycznia b. r. zezwolić Najwyżej na mianowanie Wielmożnego Pana pełniącym obowiązki Docenta Uniwersytetu Warszawskiego w zakresie literatury polskiej, z warunkiem, aby Wielmożny Pan w ciągu dwu lat następnych uzyskał naukowy stopień magistra filologji słowiańskiej.

Na podstawie powyższego Najwyższego rozkazu, zakomunikowanego p. Kuratorowi Warszawskiego Okręgu Naukowego przez Pana Ministra Oświaty pismem z dnia 10. lutego b. r. L. 1596, Jego Ekscelencja raczył zamianować Wielmożnego Pana pełniącym obowiązki Docenta Warszawskiego Uniwersytetu w zakresie literatury polskiej z pensją tysiąca dwustu rubli rocznie.

O czem Rada Cesarskiego Warszawskiego Uniwersytetu ma zaszczyt zawiadomić Pana stosownie do polecenia p. Kuratora Warszawskiego Okręgu Naukowego z dnia 17. lutego b. r. L 2268.

Rektor Uniwersytetu: (Podpis nieczytelny).	Sekretarz Rady i Zarządu: (Podpis nieczytelny).

Charakterystyczny jest fakt, że w tym dekrecie niema ani wzmianki o języku, w którym nowy przedmiot miał być wykładany. Jeżeli uniwersytet, wzywając przez swych przedstawicieli Chmielowskiego do objęcia katedry, sam zaznaczał, że przedmiot ten będzie wykładany w języku polskim, musiał mieć naturalnie podstawę do takiego oświadczenia w stanowczem postanowieniu władzy — sprawa zaś była zbyt ważna, aby ją można było w akcie nominacyjnym zupełnie pominąć. Trudno też przypuścić, żeby wzmianka o języku wykładowym utonęła po drodze pomiędzy Petersburgiem a Warszawą, pomiędzy ministerstwem, a Kuratorem W. O. N. i uniwersytetem. Najprawdopodobniej skorzystano w Petersburgu z „nowej ery“, która po śmierci Aleksandra II. zapanowała, i, uważając dawniejszy objaw liberalizmu za niepotrzebny już anachronizm, nie odstąpiono wprawdzie od zatwierdzonej przez cara myśli stworzenia w Warszawie katedry literatury polskiej, ale zmieniono ją o tyle, że nowemu przedmiotowi odebrano język wykładowy polski.

Przykład ministerstwa podziałał w odpowiedni sposób na władze szkolne warszawskie. Grono profesorów wydziału historyczno-filologicznego, obawiając się, aby wykład historji literatury ojczystej nie stał się dla młodzieży polskiej rozsadnikiem uczuć patrjotycznych pomimo obcego języka wykładowego, uchwaliło, że t. zw. „Wiek złoty“, okres z czasów panowania Stanisława Augusta, i okres Mickiewiczowski — a więc cały wiek XVI., drugą połowę w. XVIII. i cały niemal w. XIX., t. j. wszystkie epoki najwyższego rozkwitu literatury polskiej — ma wykładać profesor literatur słowiańskich, Moskal, nowemu zaś profesorowi pozwolono jedynie roztaczać przed słuchaczami obraz upadku myśli i ducha narodowego. Tę oryginalną, prawdziwie rosyjską uchwałę zatwierdził Kurator warszawskiego okręgu naukowego niewątpliwie z wielkiem zadowoleniem i uznaniem. (D. n.)

Tadeusz Pini.

[1]) Tak przynajmniej wynikałoby z listu Wł. Spasowicza, pisanego do Chmielowskiego z Petersburga dnia 27. maja 1881. Jest tam taki ustęp: „O ile mi wiadomo, chodzi tylko o Pana i nie konkuruje z Panem Przyborowski. Mogę więc prawie z pewnościa zalecić Panu, abyś się na katedrę gotował, bo ta Pana nie minie“.

[2]) Tytuł urzędowy tych, którzy uniwersytet już ukończyli.

ADAM MICKIEWICZ.

Bitwa pod Stoczkiem.

(Przekład z francuskiego).

Zazdroszczę Atyli, który stoczył tysiąc bitew, a w tysiącznej jeszcze czuł w sobie rozkosz rzezi. Oj, był to krwawy rozpustnik, ten stary hetman! Co się mnie tyczy, piastującego stopień sierżanta lekkiej artylerji, wyznaję, że zaprawdę zakochany byłem w wojence, ale tylko przez pierwszy tydzień mojego wojskowego zawodu i że Atylowej rozkoszy raz tylko jeden zasmakowałem. Z tej to przyczyny, nigdy już nie wyjdzie mi z pamięci pierwszy miodowy tydzień i pierwsza bitwa.

Pierwsza bitwa ma szczególniejsze podobieństwo z pierwszą miłością. Ileż nadziei, ile złudzeń przed tą uroczystą akcją, która rozstrzyga o losie narodów! Lada rekrut czuje się powołanym do odegrania co najmniej roli..., jakiego bohatera historji lub powieści.

Przychodzi wreszcie do rozprawy: stajesz do niej z niecierpliwością i pewnym niepokojem, doznając to trwogi śmiertelnej, to znowu szalonej wesołości; już cię strach przeszywa, już cię podnosi pycha tryumfatora. W jednej godzinie przechodzisz przez tłumy wzruszeń i zbierasz wspomnienia na całe życie! lecz, aby to czuć z całą mocą, potrzeba mieć serce rekruckie.

Powiedział ktoś, że każdy człowiek może ułożyć dobrą powieść, opowiadając tylko poprostu historję swej pierwszej miłości. To spostrzeżenie zachęciło mię do opisania pierwszej bitwy, w której uczestniczyłem.

Po wybuchu powstania, dnia 29. listopada, postanowiłem wstąpić w szeregi i rozmyślałem, czy do piechoty, czy do jazdy. Ażeby zrobić stanowczy wybór, przebiegałem ulice Warszawy, przypatrując się bacznie mundurom różnych pułków. Najprzód zatrzymałem się przed bataljonem grenadjerów, którzy maszerowali w ściśniętych szeregach, milcząco, w porządku i poważnie. Wszystko wąsacze, z szewronami na ramionach. Były to resztki legjonów Napoleońskich. Kiedy przechodzili, ustępowano im z uszanowaniem i szeptano w tłumie: „To mi żołnierze! to nasi obrońcy!“ — Zazdroszczę im, pomyślałem, piękna to rzecz być grenadjerem! — i zbliżyłem się do oddziału, a zająwszy miejsce obok dobosza, maszerowałem krokiem grenadjerskim, upatrując komendanta, któremu chciałem ofiarować swoje służby.

W tem, na drugim końcu ulicy, ukazało mi się nowe zjawisko wojskowe. Był to krakus na białym koniu, w białej sukmanie, w czerwonej czapeczce z białem piórkiem; przerzynał, jak łabędź, czarne fale mieszczuchów. Ślicznie wymijał koniem; pieszych witał skinieniem głowy, z kawalerzystami ściskał się za ręce. Oczy wszystkich zwróciły się ku niemu; mężczyźni klaskali, kobiety uśmiechały się w milczeniu, — piękny krakus stał się bożyszczem chwili.

Przyszło mi zaraz na myśl, że w mundurze krakowskim, na mój wzrost i wiek, będzie mi bardziej do twarzy. A tak objawiło mi się moje właściwe powołanie: — Bóg mię stworzył krakusem.

Zwróciłem się więc w stronę koszar jazdy; ale w połowie drogi wpadłem w niezmierny tłum, który mnie porwał ze sobą i uniósł ku rogatkom. Lud się cisnął na spotkanie nowo nadciągających szeregów. Osobliwsza figura jechała na przodzie: był to stary kapucyn w habicie i na koniu, w jednej ręce miał lancę, a drugą błogosławił krzyżem lud, który mu nogi całował. Za kapucynem postępowało tysiąc strzelców z lasów augustowskich. Mieli przewieszone dubeltówki i wielkie torby borsucze z pazurami i wyszczerzonymi zębami, bielejącymi na zielonych kurtkach. Drugi tysiąc wieśniaków, uzbrojonych w krzywe kosy i siekiery zamykał pochód. Nigdy wejście najpiękniejszych pułków nawet wejście księcia Józefa na czele zwycięzkich legjonów, nie wzbudziło takiego zapału, jak ten, z którym Warszawianie witali torby borsucze i łyczane łapcie*). Nie były to już oklaski, ani śmiechy, ale krzyki, grzmiące: *hura!* i błogosławieństwa, pomieszane z głośnym płaczem. Lud bowiem dziwnym swoim instynktem umiał uchwycić piękną i wzniosłą stronę obrazu. Na widok tych kapłanów, tych wieśniaków, co opuścili cele klasztorne i swoje bory, ażeby się bić z wrogiem ojczyzny, lud zrozumiał całą grozę niebezpieczeństwa, oraz pojął z całą ufnością, że to jedyny środek obrony.

Wzięła mię nagła pokusa porwać natychmiast za kosę lub dubeltówkę i stanąć do szeregu z chłopami, by z nimi podzielać tryumfalne wejście do stolicy. Ale jakże to zrobić? jak nadać sobie ruchy zuchowate i wyzywające kosyniera mazowieckiego, lub wyraz ponury i dziki strzelca z nad Niemna? Jak wyrównać im wzrostem i szerokością pleców?

*) Łapcie — obuwie ze skóry lipowej.

Wśród tych olbrzymów, wyglądałbym jak królik między wilkami.

Cóż więc pocznę ze sobą? Czy mam być krakusem, czy grenadjerem? Niepewność ta dużo mię kosztowała.

Znajomy mi pułkownik spotkał się ze mną w przechodzie i, klepiąc mię po ramieniu, rzekł:

— Dowodzę oddziałem partyzantów; część moich ludzi wyszła już w pole, ja sam dziś wyruszam z Warszawy, potrzebuję kanonierów; może wiesz, gdzie ich znaleźć?

— Wiem o jednym — odrzekłem, przybierając postawę wojskową — potrzebujesz kanoniera, oto go masz!

— Zgoda! — rzekł pułkownik — naciągaj mundur i staw się u mnie dziś wieczór, punkt o dziesiątej, czy rozumiesz?

Tegoż dnia o jedenastej w nocy maszerowałem umundurowany przy mojej armacie.

W ciągu marszu ćwiczyliśmy się w użyciu tej broni, a ja tyle dokładałem pilności, że po trzech dniach mianowano mię sierżantem i pod moje rozkazy oddano armatę.

Zdziwiłem się, zmieszałem i niemal zawstydziłem z powodu tak nagłego awansu. Zawróciło mi w głowie i dopiero po kilku godzinach osłupienia zacząłem uczuwać wpływ mej nowej godności. Mimowolnie przybrałem minę marsową i poważniejszą; wyciągnąwszy uroczyście prawą rękę, położyłem ją na mojej własności, na wylocie armaty. Ten kawał bronzu — myślałem sobie — będzie filarem w świątyni mojej sławy; będzie pierwszym stopniem w rycerskim zawodzie, a może.. i na tron mię zawiedzie! Dobrze wycelowane działo rozstrzyga nieraz los wojny. A Napoleon od czego zaczął, jeśli nie od kanoniera? Pełen tych marzeń, zakochałem się w swojej spiżowej armacie, jak w pannie i odtąd zawsze byłem przy niej. Badałem jej wady i przymioty. Tak dobrze wbiła mi się w pamięć, że zrobiłbym z pamięci jej portret. Dźwięk jej głosu znałem tak dobrze, żebym go mógł rozróżnić wśród najżywszej kanonady, choćby pod Lipskiem lub Ostrołęką. Kochana moja armatko, co stało się z tobą? Zapewne nikt cię tak nie popieści, jak ja cię pieściłem. Ta myśl mnie jedynie pociesza. Była wprawdzie niewielka ośmiofuntówka, ale dla mnie była ogromna, bo brzemienna całą moją przyszłością. Zresztą dobrze osadzona, łatwa do manewrowania i dziwnie celnego strzału,

Cały dzień ledwo mi wystarczył na spełnienie obowiązków przy kochanej armatce, a i przez noc nie przestałem myśleć o tym przedmiocie mojej miłości. I tak, jednej nocy śni mi się bitwa, a naprzeciw siebie kogóż widzę? feldmarszałka Dybicza *). Zaraz biorę go na cel — paf! i moja kula przecina go na dwie połowy. Puszczam się, aby oderwać mu głowę i jeszcze ciepłą zanieść do naszego naczelnego wodza, ale trup Dybicza tak ostro się bronił, że aż się zbudziłem i w rzeczywistości zamiast głowy moskiewskiego wodza, trzymałem głowę śpiącego obok mnie kanoniera... Innej nocy gorsza rzecz mi się zdarzyła: śniłem, że jazda moskiewska wpadła na nas niespodziewanie i mnie naprzód zabito, potem wycięto moich kanonierów, a wreszcie kirasjer moskiewski siadł na mojej armacie, jak na koniu i zaczął ją zagważdżać, spoglądając na mnie okiem pogardliwem. Wtedy, chociaż byłem już trupem zimnym i skostniałym, niemniej dobywałem wszystkich sił aby dać znak życia i, pasując się ze sobą, wrzasnąłem tak tęgo, żem się i sam przebudził i zaalarmowałem cały obóz. Zerwawszy się na nogi — właśnie dnieć poczynało — szukam oczyma mojej armaty i widzę z niemałą radością, że jest, że spoczywa wolna i spokojna na swojej lawecie. Otwarta jej paszcza, zdawało się, wciąga chłodek poranka, a lśniąca powierzchnia odbijała pierwsze promienie słońca Położyłem się znowu na mokrej ziemi, ale tym razem, przez ostrożność, trzymałem w ręku sprychę, ażeby bronić mego skarbu przeciw rzeczywistej lub sennej napaści.

Tak przeszedł cały tydzień miodowy sierżanta artylerji, najszczęśliwszy tydzień w mojem życiu! Każdą chwilę miałem zajętą w przekonaniu, że już osiągnąłem cel mego bytu na świecie; dusza moja przeszła całkiem w ukochaną armatkę.

Tymczasem zbliżaliśmy się coraz bardziej do brzegów Wisły; lody puściły już w wielu miejscach i widać było tu i ówdzie występującą wodę. Pułkownik nasz, z tyką w ręku, pierwszy się puścił na lód, brodząc w wodzie po kolana, potem rozkazał nam iść za sobą. Iść za nim i to z naszemi armatami po tak słabym lodzie? Na ten rozkaz zbladłem, jak śmierć, cała bowiem moja przyszłość wojenna mogła utonąć. Ale przeszliśmy szczęśliwie i stanęliśmy na drugim brzegu z okrzykiem: Niech żyje Polska!

Tego samego wieczora nastąpiło połączenie się z korpusem, wysłanym wcześniej z Warszawy. Oczekiwał on nas niecierpliwie; młodzi bowiem żołnierze, wysokie mają wyobrażenie o potędze ar-

---

*) Dybicz, z pochodzenia Prusak, był głównodowodzącym armją rosyjską w wojnie z Polską w 1831 roku i przed jej ukończeniem zmarł na cholerę. (Przyp. Redakcji).

tylerji i bardzo to ich niepokoiło, że w przededniu spodziewanej bitwy nie mieli dział. Posłyszawszy turkot kół armatnich, cały obóz nie posiadał się z radości, że nasza artylerja nadciąga! „Niech żyje artylerja“! wołano ze wszystkich stron, żołnierze wybiegli na nasze spotkanie i zawiedli nas w środek obozu.

My także z zapałem powitaliśmy naszych towarzyszy. Dotąd odbywaliśmy marsze w osamotnieniu, a teraz znaleźliśmy w tłumie dzielnych żołnierzy, których liczba wydawała się znaczną na oko. To podniosło naszą ufność. Wojska jednak nie było nad dwanaście szwadronów, zajmujących szeroką przestrzeń. Dumnie spoglądaliśmy na las zatkniętych lanc, których nowe chorągiewki jaśniały barwami, nieprzyćmionemi jeszcze krwią ani kurzem. Po wesołej i hucznej wieczerzy pokładliśmy się spać, kołysani dźwiękami muzyki wojskowej i śpiewem mazurka.

O świcie, kiedy korpusik nasz wchodził do wsi, doleciały nas pomieszane krzyki. Zatrzymujemy się; wysłano na zwiady i oto dowiadujemy się, że to okrzyki zwycięstwa! Nasza awangarda pojmała kilkudziesięciu kozaków. Pierwszy to tryumf! Trzeba było widzieć, jak cieszyliśmy się jeńcami. Kozacy ci, brodacze rozbrojeni, szli piechotą ze spuszczonemi głowami i kwaśną miną. W miarę jak przechodzili koło nas, nasi młodzi żołnierze klęli lub grozili. I mnie brała chętka robić to samo, ale obowiązek, przywiązany do stopnia, nie pozwalał na to, więc, surowo ich gromiąc, rzekłem: „Polacy! szanujcie nieszczęście! Wątpliwy bywa los wojny! Śmierć naszym wrogom! litość nad zwyciężonymi! Niech żyje Polska!“

Żołnierze umilkli, zdumieni szlachetnością mych uczuć i wymową. Od niejakiego czasu zwrócił moją uwagę stary kanonier, jadący obok mnie, który raz po raz wspinał się na strzemionach i wyciągał szyję ponad głowy towarzyszy.

— Czemu się tak przypatrujesz, Mateuszu?

— To te bestje, panie sierżancie; niech ich tam kaci porwą... — i wskazał palcem na wzgórze, będące przed nami. Ujrzałem wtenczas, że się coś czerniło na szczycie wzgórza. Byłyż to krzaki, czy kaszkiety piechoty moskiewskiej? Nie miałem czasu przypatrywać się dłużej, nadbiegli bowiem adjutanci, wołając z całej siły: „Artylerja naprzód! stawać do pozycji!“

Ruszyliśmy, co koń wyskoczy. Padł strzał armatni i kula, zabiwszy nam konia, osypała nas ziemią i poleciała dalej podskakując. Zajęliśmy pagórek wprost nieprzyjaciela, który podwoił ogień.

Szeroka płaszczyzna, obwiedziona krzakami i borem, roztaczała się przed nami. W środku niej, na wzgórzu, zatoczyli Moskale baterję dwunastu ciężkich dział, które osypywały nas kulami i granatami. Za baterją widać było gęste szeregi jazdy, stojącej nieruchomie. Nasza jazda stała też spokojnie, zostawiając pole do działania artylerji.

Zauważyłem, że żołnierze różnej broni zachowują podczas bitwy postawę i wyraz twarzy, właściwy sobie. I tak: artylerzysta nie ma kawaleryjskiej rzutności, ani też niecierpliwości piechura, lecz, baczny na komendę, szybki i dokładny w każdem poruszeniu, zdaje się zachowywać zimną krew, chociaż oczy jego, gryzione dymem, krwią zaszłe, brwi zmarszczone, twarz blada, usta ściśnięte, mowa krótka i twarda, wyrażają zażartą wściekłość, tłumioną w piersi.

Śród ognia, mimo że śmierć zmiatała głowy, nie przestawano żartować; każdym razem, gdy kula odskakiwała, młodzi żołnierze nie omieszkali rozmawiać z nią i dawać jej rady. Gdy odbijająca się kula szła na bok, na lewo, wołano na nią: „Dokąd lecisz, ślepa! bierz się na prawo“ — a jeżeli szła prosto, zachęcano ją: „Dobrze! dobrze!“ i tak rozmawiano z nią, dopóki nie wpadła w sam środek linji nieprzyjacielskiej, a wtedy dopiero dawano jej brawo.

Już nie wiem, ile godzin trwała ta kanonada. Chociaż gorączkowo uwijaliśmy się przy działach, jednak zabawka ta ciagnęła się za długo, abyśmy nie pragnęli nadejścia nocy. Artylerja rosyjska miała nad nami widoczną przewagę, tak co do liczby, jak i wymiaru dział. Ubito nam już kilku ludzi, wielu było ranionych, pozostali jednak, lubo nadzwyczaj zmęczeni, nie upadali przecież na duchu i nikt ani myślał o odwrocie.

Naraz od lewej strony ryknęły okropnie działa. Moskale właśnie tam postawili nową baterję, którą nas ostrzeliwali z boku. Zwróciliśmy dwie nasze armatki przeciw tej nowej zaczepce, z którą trzeba było pogadać, lecz położenie nasze stawało się coraz przykrzejsze, bo sześcioma polowemi armatkami odpowiadać na dwadzieścia dział ciężkiego kalibru — to nie przelewki. Na widok tej nierówności sił, żołnierze nasi wydawali się zmieszani. Już ruchy ich słabły, już wystrzały nasze rzadziej się odzywały, nawet dykteryjki i żarciki jakoś ustały.

Można sądzić, że dowódca nasz czekał właśnie, aż Moskale rozdzielą swe siły, aby skorzystać z tego momentu i uderzyć na nich, tak przynajmniej wnoszę, lubo nie kuszę się mówić o planie bitwy. Tyle wiem, że w najkrytyczniejszej chwili usłysze-

liśmy od lewej strony tentent konnicy, pędzącej galopem i w kilka minut potem owa druga baterja umilkła, gdyż była zdobytą.

Nasz dowódca zawrócił i poskoczył ku głównej sile naszych sztandarów: „Naprzód, kłusem! naprzód wiara!“ I cała jazda, uszykowana w dwa szeregi, posunęła się, mijając naszą baterję. „Idą do szarży!“ wołali nasi kanonierzy i naraz zaprzestaliśmy strzelać.

Jakiż to wspaniały był widok! Młodzi ułani z zapalonym wzrokiem, rozognioną twarzą, rwali się niecierpliwie naprzód, ale radzi nie radzi musieli słuchać surowych rozkazów dowódcy, który ciągle powtarzał: „Kłusem! naprzód! kłusem!“ Widać było z ruchu chorągiewek, jak gorączkowo drgały ręce żołnierzy. Nakoniec ozwały się trąby, zniżyły chorągiewki i ułani ruszyli na nieprzyjaciela! „Naprzód! galopem! naprzód! wiara!“

Pędzą! lecą!

— Myśmy zostali przy naszych armatach bezczynnie, a nawet o niczem nie myśląc. Artylerja, niedawno ruchliwa i hałaśliwa, wydawała się skamieniałą. Dusze nasze uleciały daleko i osiadły na ostrzach grotów ułańskich. Oto już są blisko Moskali! Już moskiewskie szeregi formują się na ich przyjęcie. Kanonierzy powyłazili na lawety, na jaszczyki i patrzą w przestrzeń, podani naprzód z rozchylonemi wargami; a była taka cisza, że usłyszałbyś lot muchy. Każdy z nas czuł, że od tego starcia zawisł nasz los, los wojska, może i ojczyzny! Była to chwila oczekiwania i strasznej niepewności, szczęściem trwała kilka minut zaledwie.

Nasi ułani starli się z moskalami na wyżynie; obie linje starły się ze sobą i pomieszały. W całej masie zawrzało — cała się skłębiła, jak tuman kurzawy, pędzony wichrem.

Nagle, nie wiem kto taki, lecz ktoś wśród nas, przerwał grobową ciszę, okrzykiem: „Zwycięstwo“. Nikt mu jednak nie zawtórował, my bowiem, młodzi żołnierze jeszcześmy nie zrozumieli, ani odgadywali skutku tej bitwy, a przytem lękaliśmy się oddawać przedwczesnej radości. Poczekajmy! ten i ów mówił — dotąd niema nic pewnego, nic nie widać, wszyscy gdzieś się podzieli!...

Nareszcie część masy, która zniknęła nam z oczu, zaczęła się ku nam zbliżać. Poznaliśmy naszych ułanów po kolorach i po okrzyku wojennym: *Jeszcze Polska nie zginęła!*

Nie podobna było dłużej wątpić: zwycięztwo przy nas! Zbliżająca się masa, przedstawiała osobliwy widok. Widać w niej było mnóstwo pieszych żołnierzy rozmaitej broni, przytem furgony, jaszczyki, działa... Byli to jeńcy rosyjscy zabrani z artylerją i całym taborem.

Nie potrafiłbym opisać naszej radości, szalonej radości! Jakto, cała artylerja, ta potężna artylerja w naszych rękach! Rzuciliśmy się ku zdobytym armatom; ja sam na chwilę zapomniałem o mojej kochance, ośmiofuntówce.

Piękneż to były te rosyjskie armaty, takie ogromne, doskonale omuntowane i opatrzone we wszystko.

— Patrzno panie sierżancie — wołał kanonier Mateusz — patrz, jakie czerwone, jakie błyszczące armaty mają te przeklęte Moskale!

Nie zgadnie nikt przecież, co nam sprawiło największą radość — oto ni mniej ni więcej, jak zwykły owies, zabrany od wrogów. Nasza jazda nie miała już furażu, a Moskale mieli go podostatkiem; ich furgony, jaszczyki, lawety nawet pełne były owsa. Żołnierze rzucili się nań łapczywie, napełniając worki, ładownicę, kieszenie, wołając, że nigdy jeszcze nie widzieli tak pięknego owsa.

Nadjechał wódz, a na jego widok zagrzmiał okrzyk zapału i uwielbienia. Snać bardzo był zmęczony, pomimo bowiem chłodnego dnia, pot mu spływał kroplami z czoła. Otoczyliśmy go tłumnie. Śród ogólnego poruszenia i wybuchów radości, on jeden był spokojny i milczący, choć widocznie wzruszony.

— Dzieci moje — rzekł do nas — przyrzekłem poprowadzić was na nieprzyjaciela, wy przyrzekliście go zwyciężyć, a tak ja, jak i wy dotrzymaliśmy słowa.

Taki był koniec pamiętnego dnia pod Stoczkiem. Z zapadającą nocą zaczęły się opowiadania przy obozowych ogniskach. Słuchaczów nie było, bo wszyscy mówili naraz; wszyscy się dzielnie spisali w bitwie, wszyscy byli szczęśliwi.

Jeżeli wybije kiedy dla mnie błogosławiona godzina, w której będę mógł jeszcze walczyć w obronie ojczyzny, widzieć armję moskiewską w popłochu, odszukać moją kochaną ośmiofuntówkę i miotać z niej kule na złociste dachy stolicy carskiej, natenczas nazwę się prawdziwie szczęśliwym. A jednak nawet śród takich tryumfów nie potrafiłbym czuć uniesienia, któregom doświadczył w pierwszej mojej bitwie, pamiętnej bitwie pod Stoczkiem.

Nerwowość u dzieci.

(Dzieło Prof. Dra A. Combe'go w tłumaczeniu polskiem przez Dra H. Nusbauma.)

(Ciąg dalszy.)

Ale jak niebezpiecznem i w swych skutkach fatalnem jest zatruwanie mózgu u dzieci, wykazała okoliczność, że mózg dziecięcy podobny jest jeszcze bardzo do mózgu zwierzęcego; są w nim czucia i instynkty gotowe, ale władze wyższe, jak rozumonie, wola, panowanie nad sobą, wyższe kojarzenia pojęć, słowem cała inteligencja, jest właśnie w trakcie rozwoju, w okresie powstawania, tworzenia się. Na te więc w subtelnej fazie rozwojowej będące władze umysłowe najujemniej wpływają napoje wyskokowe. Chcąc tedy baczyć, ażeby ów rozwój wyższych władz ducha u dziecka odbywał się prawidłowo, należy przedewszystkiem i najkategoryczniej unikać podawania dziecku alkoholu, czy to w formie piwa, czy wina, czy miodów, czy też win owocowych. Wszystkie napoje wyskokowe działają zabójczo na tworzenie się woli, rozumu, inteligencji, a tymczasem niestety, nikt na to nie zwraca uwagi, i alkoholizm u dzieci jest nader rozpowszechniony, prawie powszechny w naszej epoce. Trzeba tylko spojrzeć uważniej dokoła siebie, ażeby się przekonać, że u nas niema prawie dziecka, któregoby nie pojono w ten, lub inny sposób trunkami alkoholowymi. Jakże chcieć potem, ażeby mogły powstawać u nas osobistości o rozumnej woli, o potężnej inteligencji. Szarzyzna smutna, przesądna, goniąca za poziomymi, egoistycznymi celami, z brzydkimi, zwierzęcymi nałogami, z zawiściami niskiemi, z nienawiściami i fanatyzmami gminnymi — oto są rezultaty alkoholizmu dziedzicznego, a pielęgnowanego następnie w ludziach od dzieciństwa samego.

Dzieci zalkoholizowane przy poczęciu i w łonie matczynem, alkoholizują się dalej u piersi, bo wiadomo, że alkohol, wprowadzony do ustroju jako napój, nie ulega we krwi spaleniu w całości, czyli przemianom chemicznym utleniania, ale że część jego wydziela się z organizmu w postaci i stanie niezmienionym, wraz z wydzielinami fizjologicznemi ciała. Tak n. p. alkohol zażyty w piwie, winie, wódce etc., daje się wykryć w powietrzu wydychanym, w pocie skórnym, w moczu, w kale. To też alkoholika czuć można powonieniem z daleka, bo „niesie“ od niego aromat kufy piwnej, albo okseftu winnego, lub baryły piwnej. Nic więc w tem nie ma dziwnego, że alkohol znajduje się też w mleku, wydzielonem przez pierś karmicielki, gdy ta raczyła się piwem, albo wódką, lub winem, a z mlekiem dostaje się alkohol do organizmu niemowlęcia. Jest to fakt bardzo ważny i godzien zapamiętania, szczególniej wobec wielce rozpowszechnionego przesądu, że matka, albo mamka, ażeby mieć dostateczny pokarm dla dziecka, powinna pić wino i dużo piwa.

Jasnym wynikiem takiego zwyczaju jest alkoholizowanie dziecka, i to jest właśnie owa przyczna alkoholizmu dzieci, będących u piersi. Drugą przyczyną, napotykaną przeważnie wśród klasy roboczej, stanowi ohydny zwyczaj podawania niemowlęciu t. zw. „syska“, czyli t. zw. „mamki“. Jest to szmat płócienny, albo bawełniany, wypełniony papką i maczany zwykle w jakimkolwiek napoju alkoholowym. W ten sposób dostarcza się dziecku dostateczną ilość alkoholu, ażeby je zatruwać regularnie, chronicznie. Trzecią następnie przyczyną jest niesumienność mamki, połączona z nieświadomością matki, gdy podają one niemowlętom dawki wodu, albo rumianku, lub herbaty z domieszką koniaku „kirszu“, lub też nawet wody kolońskiej dla wywołania snu.

Specjaliści, lekarze dzieci stwierdzają fakty, że matki często nie umieją inaczej uspić niemowląt, jak pojąc je sporą dozą „grogu“. (C. d. n.)

Dr. B. Dybowski.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Józef Jedlicz. „Słoneczna pieśń“*. Kraków, nakładem D. E. Friedleina. 1904, str. 120.

Z trudnością przychodzi mi pisać o tej pierwszej książce Jedlicza. Gdyby była przyszła do mnie przed laty paru, pewnie pisałbym o niej łatwo, entuzjastycznie. Książka bowiem (zwłaszcza zawierająca poezje) jest to list do przyjaciół, znaczy: ludzi na tymsamym stopniu duchowego rozwoju będących. Z treści zaś widzę, że to list nie do mnie, i przez to w sprawach zasadniczych niema na razie, sądzę, porozumień między mną a autorem. Na razie — mówię, bo w drodze rozwoju może się znowu spotkamy.

To powyższe zaznaczenie usuwałoby dalszą ocenę. Ale że książka, jak zwyczajnie, jest listem otwartym, więc mogę o niej, przeczytawszy, powiedzieć swoje wrażenie.

Wrażenie z tej „Słonecznej pieśni“ odniosłem przygnębiające. Oto jakobym widział ptaka — (orła, powiedzmy poetycznie, choć właśnie

różni poeci zrobili go sową nadętą) — więc orła, zamkniętego w klatce, który, przymknąwszy znużone powieki, marzy o nadchmurnym locie, o dalekich żeglugach nadmorskich, o zawrotnem kołowaniu ponad przepaściami, o królewskim spokoju na szczytach — i to marzenie jest mu tak realnem, że nie czuje potrzeby tych pięknych przeżywań poza przeżywaniem w myśli; a choćby czuł, to kraty mu się widzą (zwłaszcza wobec przymkniętych oczu) takie mocne, że ani gadki ich połamać. Więc zadowalnia się samem marzeniem — i to jest jego słoneczna pieśń — w klatce. A smutek, zgryz, który się w to marzenie wciska, to stąd, że sobie tę klatkę-niewolę dość często przecie uświadamia. Ma on pragnienie pełnego, promiennego życia, ale woli ku temu życiu nie posiada. Gdyby mu klatkę kto otwarł — onby się może nawet i nie ruszył. „Na bój? Na świt? Na nowe życie?“ Wszak on je już w swej myśli przeżył. Spokój jest potęgą, a potęga spokojem — w klatce.

Oto takie wrażenie odniosłem z „pieśni słonecznej“, zwłaszcza z cyklu takim tytułem zaznaczonego we zbiorku.

Jan Sten, pisząc w „krytyce“ o poezjach Jedlicza, rozkoszuje się spokojem helleńskim, jaki w nich widzi. Często się u nas „helleńskość“ powtarza. Otóż trza zwrócić uwagę, że ów „spokój“ Hellenów wypłynął z pełni ich życia, tak fizycznego, jak i duchowego — była to naturalna pogoda żyjących. A gdzież u nas kto żyje? W marzeniu chyba? Ale to nie jest życie — to nazywamy dzisiaj poezją: Marzenie o pełnem życiu. Taką jest „Słoneczna pieśń“ Jedlicza. Ale chyba tak daleką od „helleńskości“, jak marzenie o życiu dalekiem jest od onego życia.

Czytelnicy „Tygodnia“ mieli sposobność zapoznać się z Jedliczem i poznać właściwości jego świeżego talentu, bowiem „Tydzień“ dość często zamieszczał utwory jego, tak prozą, jak i wierszem, i bodaj czy nie najpiękniejsze wiersze z jego zbiorku (cykl 14-tu sonetów „Legenda pól“) były tam drukowane. To też nie chcę narzucać swojego sądu o artystycznej wartości tych rzeczy, tembardziej, że niejeden, śledzący drogi naszej poezji, zechce przeczytać cały zbiorek, „Słoneczną pieśnią“ objęty. Dodam jeno, iż ten tomik odcina się wybitnie od szeregu podobnych z okładki tomików i można go postawić w rzędzie najlepszych utworów lirycznych z lat ostatnich.

W. Orkan.

Golesz, czyli Podzamcze i Jasło. Szkic monograficzny, napisał Władysław Węgrzyński. Jasło 1904.

Pod tym tytułem wydał wspomniany autor, prof. gimnazjum jasielskiego, swą pracę, jako broszurę, zamierza zaś wydać monografję w drugiej jeszcze edycji, jako album ze znakomitemi zdjęciami fotograficznemi Zajączkowskiego.

Krótką tę pracę oparł autor — jak sam cytuje — na źródłach historyków naszych jak Piekosińskiego: Kodeksie dyplom. Małopolski, Długosza: Liber beneficiorum, aktach Bieckich, Monumenta medii aevi hist., Kodeksie Tynieckim, kronice Kromera, Balińskiego: Starożytna Polska itp., oraz na aktach miejscowych.

Jak tytuł wskazuje — rozpoczyna autor szkic ten od dziejów zamku Golesza, którego założenie odnosi do bardzo dawnych czasów, sięgających jeszcze panowania Bolesława Chrobrego, a wiadomości jego historyczne rozpoczynają się dopiero od wieku XIV., gdy należał do opactwa Benedyktynów tynieckich. — Następnie przystępuje autor do początkowych dziejów Jasła, wskazując istnienie tej osady w w. XII., a założenie przypisuje zakonowi XX. Cystersów z Koprzywnicy, w których ręku pozostawała ona aż do r. 1368. W tym roku bowiem, przemienił król Kazimierz W. dotychczasową wieś Jassel (także Jaszel i Jasyel) na miasto królewskie Jasło z prawem magdeburskiem i z własną parafją i kościołem. Około r. 1400 powstał w Jaśle klasztor i kościół OO. Karmelitów bosych z cudowną statuą Matki Boskiej, ściągającej tu, zwłaszcza z Węgier, liczne drużyny pielgrzymów, wcześniejszy od murowanego kościoła parafjalnego, wystawionego dopiero w r. 1446. Dalej przedstawiwszy zniszczenie miasta tego i okolicy w liczbie 200 wsi przez najazd Węgrów r. 1474 autor nadmienia o sekularyzacji dóbr opactwa Tynieckiego i zamku Golesza na dobra królewskie w w. XVI. i połączeniu tego grodu z miastem Jasłem przez osobę mieszkającego w tymże zamku starosty jasielskiego, którym był w r. 1550 Joachim Lubomirski. Nadmienia również o zakazie królów polskich co do osiadania w tem mieście żydów i zajmowania się handlem. Nareszcie wymienia klęski, powodujące upadek miasta, a to morowe powietrze r. 1652, wojnę szwedzką za Jana Kazimierza, r. 1655, i najazd Rakoczego, który zdobył także zamek Golesz i spalił, a miasto Jasło do szczętu zniszczył. Znowu w r. 1683 wielki pożar nawiedził dźwigające się z gruzów miasto, jak również w r. 1755 i w stanie nędznym przeszło ono w czasie okupacji pod rządy austrjackie, o ludności, wynoszącej zaledwie 1.500 dusz, należąc do cyrkułu dukielskiego. W 12 lat znowu po tym zaborze pogorzało wielce miasto, a z niem i klasztor OO. Karmelitów, który uległ kasacie rządu, statua zaś Matki Boskiej została przeniesioną na stałe umieszczenie dotychczasowe do kościoła parafjalnego niedalekiej wsi Tarnowca.

W r. 1790 zostało miasto to cyrkularnem miastem po przeniesieniu urzędu tego z Dukli i od tego czasu datuje się powolny wzrost miasta.

Wreszcie w r. 1826 ogromny pożar zniszczył miasto, od którego tylko ocalał kościół, cyrkuł i kilka domów, lecz przy staraniu namiestnika ks. Lobkowicza u rządu, miasto podniosło się i odbudowało na nowo.

W ten sposób doprowadził autor szkic ten monograficzny zamku Golesz i miasta Jasła do czasów ery konstytucyjnej, mając tylko na celu — jak się sam w końcu wyraża: „pobudzić u dzisiejszego mieszkańca poczucie szanowania pamiątek narodowych i ten pjetyzm dla przeszłości, jaki spotykamy u innych narodów“.

Broszurą swą osiągnął już autor cel zamierzony i każdemu czytelnikowi wystarczy ona do zaspokojenia zwykłej ciekawości — pożądanemby jednak było, by autor, a zarazem profesor-historyk, znając źródła miejscowe i zamiejscowe, przedstawił barwny obraz dziejowy i kulturalny miasta Jasła w obszerniejszej monografji, jak tego już doczekały się inne miasta nasze.

J. P.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.